

Zamyślenia



W takim miasteczku umiera się za życia...

Wojciech Łęcki to wojujący poeta. Nie dosyć abyśmy my, czytelnicy, mogli spać spokojnie. Poeta opisując rzeczywistość pewnego miasteczka, opisuje zarazem cały ten nasz kraj pełen sprzeczności, pozorów ładu, codziennej niepewności o jutro. „Tu umiera się już za życia...”. Poeta zdaje się być tu tylko przejazdem, chociaż swego czasu wmiszał się w życie kulturalne miasteczka jako twórca, artysta słowa, usiłując oswoić „okoliczne psy”. Był przecież prezesem oddziału ZLP, działając na tzw. niwie literackiej. Był współzałożycielem i naczelnym tygodnika „Goniec Obywatelski”, a potem poczytnego periodyku „nawias”. Poeta, satyryk, dramaturg, dziennikarz i inżynier z wykształcenia, łączył swoje pasje twórcze z pracą pośród armii urzędników płockiej Petrochemii. Jego ostatni tomik wierszy zatytułowany „Widok ustronny” jest niejako skargą na los, który związał go z tym miejscem, z peryferyjnym miasteczkiem, którego „każda ulica zagłada w zapyziałe ślepią prowincji”. To pewnego rodzaju spóźnione *votum seperatum* poety i skarga zarazem. To rozprawa z przeróżnymi „wnętrzami” miasteczka, jego zakisłym pejzażem i gnuśniejącymi tam przedstawicielami elit, uczipionych „tymczasowej wieczności”. Jest wiele takich miasteczek w Polsce, gdzie „słońce nie wszędzie i gdzie mieszkańcy niczego już nie oczekują, zwłaszcza w tych ostatnich latach. Miasteczko zamkniętych układow, gdzie „krótkie uliczki cierpią wciąż na krótkowzroczność”, gdzie wszyscy i wszystko kiśnie „w oparach korupcji”. Poeta nie wypuszcza myśli i słów poza granice miejsca, gdzie przyszło mu żyć. Jego każdy utwór to jakby fotografia minionego czasu w mądrych, filozoficznych ramach poetyckiej dygresji. Można z tych fotografii odczytać jakąś mitopoetykę bytu, w której moglibyśmy odnaleźć własne miejsce. Łęcki z trudem i wysiłkiem godzi się na własną samotność w tym miasteczku. Z drugiej strony każdy z poetów jest taką samotną wyspą, gdzie w przestrzeni jej obrysu, też można łatwo się zgubić, stracić właściwy kierunek, czasami poddać się urokowi błędnych ogników bagiennych prowadzących donikąd. Opisywane przez poetę miejsca są tak brzydkie, że czasami aż piękne w swej brzydocie. Tomik jest własną biograficzną notą, gdzie jest też miejsce dla pięknej postaci ojca, matki. Piękne są powroty w wierszach do lat młodości, które w nas drzemią. Takie wiersze, to prawo serii każdego poety, pisarza. Raz jeszcze odnaleźć zapach tamtych kwiatów na łące i raz jeszcze śnić sny o wolności, zakrapianych tanim winem

„Patykiem pisane”, i raz jeszcze chłopaki z Liverpoolu. „Potem wszyscy wyszliśmy z piwnicy w dorosłość” – tak zwyczajnie, że nawet nikt nie zauważył” („Tamte wiosny”). I tu powraca odliczanie zmarnowanych lat, które nieroztropnie przyrównujemy do wyzwań XXI wieku. Było i się zmyło. A zatem cały nowy tom wierszy Łęckiego, to jakby poetycki list do przeszłości, kiedy „następne lata to moje stulecia”, jak wyznaje. Czy był to rzeczywiście pechowy czas, w którym przyszło mu żyć? Jakże dzisiaj byłibyśmy mądrzejsi mając tamte „naście” lat. Czy rzeczywiście, kiedy... „XXI wiek – ktoś wyszedł na zewnątrz jaskini...”. Łęcki ubogaca 30 swoich wierszy w poetyckie myślenie... polityczne, stwierdzając na koniec, iż „Rozdarcie między czerwienią a bielą zanosi się na wieczność”. Dziwne przecucie z którym i ja się zgadzam. Autor wydał 10 zbiorów poezji oraz 4 tomiki z utworami satyrycznymi. Jest autorem sztuk teatralnych oraz monodramów, które doczekały się realizacji scenicznych w minionym okresie czasu. Jego wiersze tłumaczone były na język angielski, niemiecki, czeski, litewski i norweski... Tłumacza wierszy z tego tomiku Libora Martinka nie trzeba przedstawiać – już samo to nazwisko jest prezentem dla polskiej literatury.

KAZIMIERZ IVOSSE

Wojciech Łęcki, „Widok ustronny”. Przekład na język czeski: Libor Martinek. Biblioteka „nawiasu”, tom V. Płock 2010, s. 120.

Wojciech Łęcki

Tymczasowa wieczność

W miasteczku umiera się za życia śmierć nabrała kompleksów przychodzi nieśmiało

Z lepszych widoków pozostał ten na rzekę w której pijany księżyc szuka czasem ochłody

Żagiel dymu z najwyższego komina łądzi niektórych zmianą kursu

Miasteczko chłonie okolicę z ekologicznym spokojem odbiera inwencję

Elita udaje że jest tu przejazdem choćby już wykupiła wieczność na cmentarzu

Widok ustronny

Odchodzą, których zdążymy pokochać. Pozostali obnoszą swoją nieśmiertelność niczym kapelusz z minionej epoki. Uskrzydla ich duchy przodków, podpływające do brzegu sadzawki.

Niekochani zapominają o wyznaniach, chociaż dzień w dzień drepczą do kościołów. Mają we krwi, że w miasteczku trzeba zabiegać o względy pokłóconych bogów.

Próbują oswoić okoliczne psy, wścibskie sroki z sąsiedztwa, wypłowiele szczury z pobliskich baraków, czekających latami na niezwłoczną rozbiórkę...

Niekochani nie przepadają za sobą. Znikają zwierzętom z oczu, gdy połączy ich dokarmianie tych samych łabędzi.

Każdy powrót objawia niezwykłą przemianę. Nawet pod względem ptci. Ptaki wiedzą, komu są potrzebne. Potrafią nawet przymarznąć do tafli, kiedy zew stada nie poderwie do lotu.

Samotni, których pokochamy, nie dokarmiają zwierząt.

Nostalgia

Niektóre ulice wybiegały za daleko, zachwycone lazorem prowincji. Toną teraz w kompleksach, grzęzną w domysłach, dławią się przestrzenią...

Nadbrzeżne stragany przegładają się w rzecze, służącej póki co do spławiania patyków po lodach.

Prosto z mostu rzuca się tu ogryzki słów. Rzadko jakiś desperat popełnił samobójstwo. Latem chłopaki z nudów poskaczą na główkę. Jeśli się nie połamią, to zazwyczaj poenią, zanim ktoś im powie, że robi się to z miłości.

Kiedyś było inaczej, ale nikt nie wie, przy której ulicy. Wystarczy jednak wspomnieć o nostalgii, żeby dziadek zapewniał, że musiała być jego dziewczyną.

Miasteczko jest niezniszczalne, póki umie ubarwiać wspomnienia.

Na końcu szosy

Wiatr, przenikliwy erudyta, kosił szczypiorek ozimin. Ostre riposty kamyków dolatywały z drogi, której trudno było się domyślić.

W sklepie wielobranżowym okoliczna muza rozdawała resztki urody z promocyjnym uśmiechem.

Wielki świat nie nadchodził. Z łaski podostał nalepić coco coli.

Tylko szosa zdradza inną perspektywę.